

O WARTOŚCI ŻOŁNIERZA LEGIONÓW

(5 sierpnia 1923 r.)

W dniach 4—6 sierpnia 1923 r. odbył się we Lwowie II zjazd legionowy. Na nim Piłsudski w dniu 5 sierpnia 1923 r. wygłosił w lwowskiej sali ratuszowej niżej przytoczone przemówienie, poświęcone zagadnieniu: jakie cechy psychiczne stworzyły z legionistów typ dobrego żołnierza, tę zdobycz, która «w przyszłej historii stanowić może będzie więcej», niż przewagi w bojach.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajdują się dwa bruliony tej mowy, powstałe na podstawie notatek stenograficznych. Na brulionach tych są własnoręczne poprawki Piłsudskiego.

Stenogram był więc przejrany i poprawiony przez Piłsudskiego i w tej formie wydany drukiem jako osobna broszura (Józef Piłsudski, «O wartości żołnierza Legionów», Towarzystwo Wydawnicze «Ignis», Warszawa 1923).

Tekst, który podajemy, jest przedrukiem tej broszury.

Szanowne panie i panowie!

Z niezwykłą przyjemnością poruszam temat o wartości wojskowej żołnierza Legionów. Przez dziesięć lat, będąc najprzód dowódcą oddziałów legionowych, a potem Naczelnym Wodzem wojsk polskich, musiałem bardzo często zastanawiać się nad wartością żołnierzy, albowiem każdy dowódca musi w swoim własnym bezpośrednim interesie odczuwać i mierzyć ciągle wartość swych podwładnych. Nie ma, naturalnie, mowy, abym, będąc ograniczony czasem, wyczerpał temat i dostatecznie go dziejową naszą pracą poparł. Muszę zatrzymać w tych warunkach uwagę panów jedynie na fragmentach i urywkach oraz na najbardziej charakterystycznych cechach legionistów.

Legiony powstały w dobie historycznej, która będzie jeszcze bardzo długo tematem roztrząsań dla wielu naszych pokoleń, zajmujących się badaniem tego ogromnego wstrząśnienia całej ludzkości, jakim była wojna światowa, gdyż skutkiem jej było m. in. i ustalenie bytu niepodległej Polski.

Legiony były wojskiem. Nosiliśmy bowiem broń stale i broni tej używaliśmy dla zadania strat nieprzyjacielowi, który, na odwrót, i nam straty zadawał. Jak dawna jest ludzkość, równie dawne są wojny, równie dawni są żołnierze. Czy kiedykolwiek zabłyśnie przed ludzkością wymarzona idea wiecznego pokoju — tego nie wiem; dotąd mamy za sobą olbrzymią tradycję wojenną i olbrzymią tradycję żołnierską.

Wojska różnią się między sobą zewnętrznymi odznakami, językiem służby, zwyczajami i obyczajami, ujętymi nieraz w regulaminy. Różnice te są następstwem przynależności wojsk do takiego lub innego narodu, do takiego lub innego państwa. Byliśmy wojskiem polskim, bośmy się odróżniali zewnętrznymi cechami od wszystkich wojsk, które nas otaczały, bośmy mieli język raportów i rozkazów polski, a obyczaje i zwyczaje nawet b a r d z o polskie.

Byliśmy wojskiem polskim w 1914 r., a tym samym w stosunku do swego narodu — nowatorami. Z tego nowatorstwa wypływały, jako konieczny skutek, pewne cechy, któreśmy sami w sobie wytworzyli i które w nas otoczenie polskie obserwowało. Ta nasza trwająca dotąd, niepomierne bujna wesołość i nadmiernie burzliwy sposób manifestowania uczuć wynikają z tego, żeśmy byli nowatorami.

Wojsko polskie, któreśmy zaczęli budować, wypływało nie z woli i nie z chęci narodu polskiego. Nie czynię ani żadnych oskarżeń, ani żadnych do nikogo aluzyj. Traktuję rzeczy obiektywnie, jak historyk. Ostatnim wojskiem polskim, które było bezpośrednio przed nami, było wojsko 1863 r. Poniosło ono klęskę, zostało rozbite i zgniecione. Przez 50 lat naród polski nie pragnął wojska. Z tych czy innych powodów nie ważył się na myśl tworzenia własnego wojska, a i w momencie wybuchu wojny światowej również nie miał życzenia i aktu woli, by stworzyć wojsko polskie. Świadectwem tego pozostanie fakt historyczny, że w pierwszych dniach wojny światowej stanęły pod broń dziesiątki, ba, setki tysięcy Polaków, którzy zgodnie z prawem państw zaborczych znaleźli się w szeregach, jako żołnierze armij obcych. Dlatego też my, występując na arenę dziejową, jako wojsko polskie, byliśmy w stosunku do własnego społeczeństwa nowatorami — chcieliśmy dać Polsce polskiego żołnierza.

Każde nowatorstwo ma swoje prawa psychiczne, niezmiennie prawa duszy, dające się dostrzec u wszystkich nowatorów. Każdy człowiek, wnoszący w życie coś nowego, ma zadanie znacznie trudniejsze, niż wciśnięcie się fizyczne do tak napełnionej sali, jak ta, którą tu widzimy. W dziedzinie, do

której nowa myśl, nowy czyn chce się wedrzeć, istnieją gotowe zdania, gotowe pojęcia, gotowe przesady, gotowe formuły odsuwania rzeczy nowej, rzeczy, która dotąd nie istniała, rzeczy, która jeszcze nie wytrzymała próby życia. Dlatego wszyscy apostołowie czegokolwiek nowego, wszyscy reformatorzy życia, wszyscy odkrywcy muszą mieć wewnętrzną siłę, która im pozwala być tymi nowatorami wbrew oporowi otoczenia. Pierwszą więc ich cechą jest umiejętność wydobycia ze siebie wysiłków większych, niż przeciętne wysiłki człowieka, większej, niż przeciętna, energii. Bez tej niezwyklej energii i nieprzeciętnego wysiłku niepodobna przepchać się przez zwarty tłum uprzedzeń i niechęci do rzeczy nowych.

Drugą cechą, która z tego nowatorstwa wypływa, jest pewna przesada, pewna egzageracja w stosunku do tego nowego zadania lub nowego pojęcia, które się do życia wnosi. Chcieliśmy dać Polsce żołnierza, którego Polska nie miała i nie tworzyła przez lat 50. Z tego powodu, jak z jednej strony wysiłki duszy musiały być tu większe, silniejsze i energiczniejsze, tak z drugiej — była w stosunku do tego usiłowania wprowadzenia rzeczy nowych skłonność do pewnej przesady.

Zwracam uwagę na te cechy: ilustrować je będę przykładami, obserwowanymi przez siebie stale i ciągle. Legioniści odznaczeni się jak gdyby pewną przekorą w stosunku do otoczenia, przekorą, która daje siłę i odwagę znoszenia największych ciężarów. Przekornie postanowiliśmy dowieść, iż możemy dokonać o wiele większych rzeczy, niż te, których od nas żądano. Chcieliśmy szczególnie dowieść zarówno sobie, jak i otoczeniu, oraz obcym, że polski żołnierz sam, bez żadnej obcej pomocy może powstać, że obca pomoc jest dla nas niepotrzebna i szkodliwa. Ta walka z obcym wpływem, walka z obcymi — w życiu naszym legionowym przewija się, jak czerwona nić, tworząc nieraz tragedie ludzi, tworząc nieraz walki wewnętrzne i walki z całym otoczeniem. Chcieliśmy sami ze siebie wytworzyć te wartości, które stanowią dobrego żołnierza. Walka z ówczesną austriacką komendą, noszącą inne, niż my, mundury, a zatem przypominającą nam obce wojska, stanowi bodaj jedną z najpoważniejszych stron historii Legionów w czasie ich tworzenia się i dalszego życia. Walka ta była wynikiem przekory, wynikiem przesady w stosunku do postawionych sobie zadań. Szliśmy przeciw mniemaniu całego polskiego społeczeństwa, które w nas, wychodzących ze swej własnej szkoły, ze swych własnych usiłowań, nie chciało widzieć ani zdatnych żołnierzy, ani zdatnych dowódców. Dobijaliśmy

się o uznanie nas, jako dobrych żołnierzy, o uznanie przez nas samych, potem przez otoczenie, wreszcie przez najsurowszych sędziów. Usiłowania te stanowią, zdaniem moim, najsilniejszy ruchotwórczy czynnik Legionów.

Wiem, że w ten sposób może rozwiewam pewne legendy, które powstanie i trwanie Legionów wywodzą z szacownych uczuć, z wielkich idei. Lecz wielkie idee i wielkie uczucia są świętem, a życie codzienne, życie każdej chwili wymaga innych czynników, jeżeli ma ono utrzymać się na pewnym poziomie i pewnym stopniu. Sledząc uważnie życie legionowe, przychodzi się do przekonania, że najsilniejszym czynnikiem, najsilniejszym motywem duszy, który przy życiu utrzymywał Legiony i który dał tak wybitne rezultaty, była nasza ambicja wewnętrzna. Ambicja ta żarła ludzi, starających się dowieść swemu otoczeniu i światu, że sami potrafimy zrobić z nas dobrych żołnierzy, wbrew opinii Polski. Cechą bowiem charakterystyczną ówczesnego społeczeństwa polskiego był głęboki brak zaufania do tego wszystkiego, co jest polskie, i głęboka wiara we wszystko to, co niepolskie.

Przytoczę fakty najbardziej charakterystyczne, dowodzące, jak silna była nasza ambicja stania się dobrymi żołnierzami. Chcę być ścisłym pod względem historycznym, nie chcę się opierać na legendach, lecz na faktach, które sam widziałem, sam obserwowałem, sam analizowałem i jestem pewien, że one były. Dlatego najwięcej przykładów przytoczę z życia I Brygady.

Wojsko, gdy wyrusza na wojnę, zaczyna od pracy, od której myśmy zacząć także musieli, od t. zw. mobilizacji. Zaopatrzenie żołnierza we wszystko, co mu jest potrzebne do prowadzenia wojny, wyznaczenie miejsc koncentracji, najdogodniejszych dla rozpoczęcia z góry przewidzianych ruchów operacyjnych, jest pierwszą pracą żołnierską, która przez żołnierzy dokonana być musi. Przystąpiłem też i ja w Krakowie do mobilizacji. Lecz, moi panowie, w jakich warunkach! Nie miałem ani koszar, które są miejscem zbiórki, ani augmentacyjnych¹⁾ magazynów, z którychby można dostarczyć wyekwipowania dla żołnierzy, nie miałem nawet wygodnej kancelarii, gdziebym sam albo wyznaczeni przez mnie ludzie mogli zasiąść do trudnej pracy. Ta szalona robota mobilizowania, gdy nad głową stoi wyznaczony termin, na który trzeba być gotowym, ta masa szczegółów, które się narzucają i które przepracować trzeba, jest jednym z najcięższych wysiłków oficera i żołnierza.

¹⁾ uzupełniających.

Robota ta wysysa z każdego oficera wszystko, co człowiek dać może, i na podstawie wszystkich wspomnień ludzi, którzy przechodzili przez mobilizację, wiem, że po jej wykończeniu siadali do wagonów śmiertelnie znużeni, o niczym myśleć już niezdolni. Dokonywałem tej pracy w warunkach tysięcy razy gorszych, niż moje otoczenie. Wiedziałem dobrze, że jestem obserwowany przez oczy niechętne, które zamierzały wydać sąd surowy o mnie i moich żołnierzach. Liczba, którą mogłem zorganizować, odpowiadała mniej więcej słabemu pułkowi na stopie wojennej. Postawiłem oddział w tym samym terminie, w jakim mobilizowały się pułki armii t. zw. regularnej. W cztery dni robota była skończona i wydano rozkazy do marszu.

Przyszła pierwszy marsz. W myśl rozkazów austriackich władz wojskowych miałem dotrzeć tylko do małego miasteczka Jędrzejowa. Marsz stukilometrowy, rozłożony na 4 do 5 dni, uciążliwy, bo odbywany pod grozą kontaktu z nieprzyjacielem. Z krótkich słów, które usłyszałem od wojskowych władz austriackich przy odbieraniu ostatecznych informacji, wywnioskowałem, że władze te do mnie i do moich żołnierzy żadnego zaufania nie mają i że, wyznaczając mi ten Jędrzejów, nawet nie wierzą, bym mógł tam dotrzeć. Dlatego może nie wyznaczono nam żadnego dalszego celu marszu. Co więcej, dalej poza Jędrzejów posunąć się nam nie było wolno. Kielce, najbliższe większe miasto, zostało wyznaczone w planie koncentracyjnych sztabów państw centralnych, jako punkt styczny wojsk niemieckich i austriackich. Nie chciano tam widocznie dopuścić jakiegoś «bałaganu» o charakterze polskim, nie chciano pomiędzy oddziały austriackie i niemieckie wpuszczać do tego styku jakiegoś niewyraźnego elementu, jakim niechybnie bylibyśmy nie tylko dla dowództwa austriackiego, ale i dla wszystkich. Z rozmowy pomiędzy oficerami austriackimi wywnioskowałem, że według ich przekonania dalej poza Jędrzejowem będziemy, mówiąc ich technicznym językiem, «über-rant» ¹⁾ przez austriacką kawalerię. Dzięki przekornej naturze legionowej postanowiłem nie dopuścić, by nas wyprzedzono. Natychmiast wydany został rozkaz jak najszybszego marszu, żeby nie dać się prześcignąć kawalerii, ale odwrotnie, aby nasze piesze oddziały kawalerię wyprzedziły. Nie powiem, abym chciał teraz zachwalać swe czyny; miały one w sobie dużo lekomyślności i nieostrożności. Plan jednak został w czyn wprowadzony. Strzeleckie oddziały awangardy weszły do Kielc pier-

¹⁾ prześcignięci.

wsze ¹⁾ i dopiero później zjawiała się awangarda kawalerii w postaci szwadronu dragonów austriackich. Byliśmy w Kielcach pierwsi.

Wieczorem tego samego dnia, w którym weszliśmy do Kielc, nastąpił kontakt z nieprzyjacielem, znacznie liczniejszym i rozporządzającym w porównaniu z nami przepychem ekwipunku i uzbrojenia, armatami i karabinami maszynowymi, których myśmy nie posiadali.

Nastąpił natychmiastowy bój. Nie dowodziłem nim, zostałem bowiem odwołany na tyły ²⁾ dla omówienia spraw politycznych i komendę tej awangardy sprawował w moim zastępstwie dzisiejszy gen. Sosnkowski. Awangarda, licząca 500 strzelców, przyjęła bój, którego nasi sojusznicy, czyli szwadron austriacki, rozumnie nie przyjął i cofnął się, z czego oczywiście nie można mu było czynić zarzutu. Sosnkowski wdał się w bój, mając przeciw sobie całą dywizję kawalerii. Bitwa trwała niedługo; Sosnkowski okazał się rozważnym i wołał nakazać odwrót. Pod naporem całej dywizji nieprzyjacielskiej cofa się on, ale cofa się powoli. Wracając z Krakowa w drugim dniu odwrotu, spotkałem oddział strzelecki w Chęcinach, oddalonych od Kielc tylko o 15 km.

Zatrzymuję się na tym pierwszym wystąpieniu Legionów na arenie żołnierskiej nie dlatego, abym siebie miał wywyższać, ale dlatego, że ten pierwszy fakt, którym zaczęliśmy naszą pracę żołnierską, został natychmiast uznany nie przez polskie otoczenie, lecz przez dowództwo austriackie. Nigdy nie zapomnę, jak jeden z oficerów, który z obowiązku służbowego nas obserwował, mówił mi, że w sztabie armii austriackiej nigdy nie przypuszczano, by oddziały nasze okazały się zdolne do takiego marszu. Uważano, iż ten, że tak powiem językiem austriackim «cywilbagaż» nie jest zdolny do zrobienia marszu nawet do Miechowa i musi się rozsypać po drodze. To też marsz nasz był dla władz austriackich niespodzianką.

Później ³⁾, gdy w Kielcach stały obok oddziałów naszych i oddziały austriackie, ta sama przekora i chęć ambicji, która mnie wraz z moimi żołnierzami ogarnęła, kazała mi zająć na swą kwaterę pałac gubernatora. Zgodnie ze zwyczajami wojennymi najokazalszy budynek zajmuje na kwaterę ten, kto jest

¹⁾ Dnia 12 sierpnia 1914 r.

²⁾ Piłsudski dnia 12 sierpnia 1914 r. o godz. 16-tej wyjeżdża z Kielc do Jędrzejowa, na skutek wezwania dowództwa austriackiej 7 dyw. kawalerii gen. Korczy.

³⁾ T. zn. od 22 sierpnia 1914 r., w którym to dniu po raz drugi oddziały strzeleckie wkroczyły do Kielc.

rangą najwyższy. W ten sposób siłą faktu, bo wyrzucić mnie z pałacu nie ośmielono się, zdobyłem pozory wyższości. To też Austriacy i Niemcy przychodzili do mnie z pokorą, uważając widocznie, że skoro mieszkam w pałacu, to tym samym jestem już wyższy. I nie mogę zapomnieć goryczy, jakiej doznałem, gdy przejeżdżając później przez Kielce ¹⁾, tłukłem się na przedmieściu, gdy inni ten pałac zajmowali.

Z Kielc trzeba było się wycofać ²⁾. Wziąłem na siebie rozmyślnie najtrudniejszą pracę żołnierską, pracę ariergardy, pracę osłaniania odwrotu. Jest to najtrudniejsze zadanie, jakie spaść może na żołnierza i dowódcę. To owa przekora i ambicja legionów pchała mnie do tego, aby wziąć na swoje barki najbardziej odpowiedzialną robotę. Przy cofaniu się na Wisłę, podczas przeprawy, stale zatrzymywaliśmy odwrot. Zatrzymywaliśmy ponad miarę zakreślonego czasu. Przeszliśmy przez most w Szczucinie ³⁾ pod grozą, że nam go z tyłu spalą. Rozmyślnie nadużywałem sił młodych żołnierzy dlatego, że szybciej dążyłem do tryumfu braci legionowej, że szybciej dążyłem do uznania naszej własnej, z nas samych powstałej, pracy żołnierskiej. Pamiętam smutne przejście przez most. Ziemia obiecana, na której obiecywaliśmy sobie wyrósć w większą siłę, została opuszczona. Dano nam rozkaz osłaniania odcinka Wisły w łączności z całym mnóstwem wojsk innych. Rozkaz ten doskonale pamiętam ⁴⁾. Dla podniesienia dzielności wojsk austriackich, głosił on, że wróg wtargnął w granice «ojczyzny», polecał obronę słupów granicznych austriackich. Dla zachęcenia nas, legionistów, dodano do tekstu niemieckiego ustęp polski, stwierdzający i dla nas wagę «granicy», «ojczyzny», którą była Wisła, dzieląca dwa zabory. Na szczęście duch rozkazu uprawniał mnie do nowych niebezpiecznych przedsięwzięć. Nakazywał on prowadzenie obrony ofensywnej, t. zn. dopuszczał akcję na lewym brzegu Wisły, pozwalał przerzucać wojska przez rzekę z powrotem do tego kraju, który nie jest jakoby naszą ojczyzną. A z fortecy krakowskiej nadszedł rozkaz, by zniszczyć wszystkie środki przeprawy przez Wisłę. Na skutek tego rozkazu zaraz z prawa od nas spłonął most w Szczucinie. Stałem w obronie tych środków przeprawy przez Wisłę, chcąc bowiem przejść rzekę, trzeba było mieć możliwość

¹⁾ Piłsudski był w październiku 1914 r. dwukrotnie w Kielcach celem przeprowadzenia rozmów ze sztabem IX armii Hindenburga.

²⁾ Dnia 10 września 1914 r.

³⁾ Dnia 13 września 1914 r.

⁴⁾ Był to rozkaz, wydany przez Dowództwo etapów 1 armii austriackiej.

przeprawy. Pamiętam, jak w tym właśnie ówczesny porucznik, a dziś pułkownik Dreszer ¹⁾, nie mogąc doczekać się jakiegokolwiek środka przeprawy, rozebrał się wraz z patrolem do naga i z bronią w rękę przeprawił się na drugi brzeg Wisły. Dotąd czyn ten wspomniany jest z dumą i dotąd jest on tematem żartów, że Dreszer ma dziwny pociąg do rzeki, że przez każdą rzekę wpław się przeprawia, chociaż ma most obok. I ten mały epizod świadczy o tej dziwnej przekornej naszej chęci wykazania swej wartości żołnierskiej, wartości nieprzećietnej, zdatnej do czynów nadzwyczajnych. Jeżeli bowiem jako nowatorowie chcieliśmy stwarzać rzeczy nowe, to musieliśmy dawać dowody, że stać nas na większe wysiłki, niż normalne.

Powiem tu jeszcze o pierwszym wrażeniu na widok ran, tych rzeczy zwykłych zresztą i codziennych na wojnie. Moi panowie, wśród legionistów rany były rzeczą nieledwie codzienną, ale to pierwsze wrażenie, jakie odnosi się na widok rannych, jest niezmiernie silne, chociażby rany były nawet lekkie. Ta pierwsza krew, te pierwsze cierpienia rannego, pierwsza pomoc, ta chwila, gdy się widzi człowieka okrwawionego i słyszy w okół strzały — ma w sobie coś niezwykłego. Pamiętam, gdy świeżo przybyły batalion przeprawiał się przez Wisłę, spotkałem wracających pierwszych rannych. Panowie, ja w twarzach rannych nie widziałem smutku, nie słyszałem jęku! Widziałem tryumf i dumę, że są żołnierzami polskimi, że krew przelewają i tym swej służby żołnierskiej dowodzą. Pamiętam młodego chłopca, którego drasnęły w głowę trzy kule karabinu maszynowego. Szedł swobodnie, krwią zlaną. Gdym go spytał: — Cóż to wam, chłopcze? — Odpowiedział wesoło i dumnie: — A w głowę mnie trafiło, głowa mocna, wytrzyma.

Po tych pierwszych wrażeniach wojny szły jedne za drugimi ciężkie chwile. Widziałem złamane charaktery, złamane serca od jednego ciężaru i nacisku, serca, w których wojna zdusiła wszystko to, co było w nich najlepszego, zrobiła z człowieka odważnego — podłego tchórza, z człowieka silnego — płaczącą babę. Przeszliśmy tyle rzeczy, tyle nauk, tyle doświadczeń. Przyszedł koniec 1914 r. Po ciężkich bojach, po przegranej bitwie wojska austrackie cofały się rozbite ²⁾. Powierzono mi znów zaszczytną misję, abym stanął w ariergardzie, gdyż w ciężkich chwilach byliśmy, my, żołnierze polscy, najpewniejszą jednostką, na którą można było włożyć największe cięż-

¹⁾ Mowa o gen. Gustawie Dreszerze.

²⁾ Mowa o odwojcie spod Dębłina od końca października 1914 r.

żary. Pamiętam mękę odwrotu, nocie nieprzespane lub spędzone przy stole, gdy zasypiało się momentalnie, tak, jak się siedziało na krześle. Pamiętam dokładnie, jakie wrażenie na mnie sprawiały te cofające się szeregi batalionów przeredzonych, żołnierzy kaszlących, jak owce, robiących wrażenie szpitali, pędzonych przez lasy. Bataliony topniały. Oficerowie, śmiertelnie znużeni, przemęczeni do niemożliwych granic pod wrażeniem pierwszego wielkiego boju, gdzie grała artyleria, gdzie sypały się granaty. Widziałem, jak serca ludzkie się łamały. Widziałem żołnierzy, niegdyś pewnych siebie i hardych, a obecnie ukrywających się w lasach i czekających hańby podania się do niewoli.

W całym tym odwróceniu z moich żołnierzy byłem dumny, albowiem mogłem zrobić z nimi wszystko, co chciałem. Mogłem po skończonym odwróceniu spokojnie dać zaraz rozkaz marszu naprzód. Gdy komenda austriacka zwróciła się do mnie z prośbą, abym moich żołnierzy naprzód prowadził dlatego, że nikt z regularnej armii naprzód już iść nie chce, byłem jedynym, który z kilku batalionami śmiało poszedł szukać nowego kontaktu z nieprzyjacielem¹⁾. A za mną poszli moi dumni chłopcy, dumni, że tak wielką wartość żołnierską posiadli, poszli ze śpiewem, pogardę rzucając austriackiemu otoczeniu.

Pamiętam, że w tym czasie widziałem jeden obraz Kossaka. Artysta ten służył wtedy przy 1. armii austriackiej, do której i myśmy należeli. Obraz nosił tytuł: «Legionista» czy «Jeńcy»²⁾. Przedstawiał on młodego chłopca w mundurze legionowym, dumnie opartego o karabin. Za nim w szarych szynelach kilku jeńców rosyjskich, przewyższających o głowę młodego żołnierza o dziecinnej twarzy i dumnych oczach, patrzących w dal. Obrazek — jak wiele innych. Kossak w rozmowie ze mną stwierdził, że dzieło to namalował, podpatrzywszy tę scenę z życia. Zwróciłem specjalnie uwagę na wyraz twarzy młodego żołnierza z obrazu. Było w niej widoczne podobieństwo do wyrazu twarzy i oczu, jakie codziennie spotykałem u moich żołnierzy. Oczy niewinnego dziecka, młodzieńca, oczy, które życia nie znają. W tych oczach widoczny już był jednak zimny, stalowy odbłask woli, stanowczości, decyzji — znamię przedwczesnego wydobycia z duszy wartości żołnierskiej.

Mineło kilka miesięcy, mieliśmy już dobrą markę, mie-

¹⁾ Mowa o wywiadzie, który Piłsudski na czele trzech batalionów przeprowadził w dniach 9—11 listopada 1914 r. na wschód od Wolbromia.

²⁾ Na odbitkach tego obrazu tytuł brzmiał: «Legionista» («Jeńcy»), w katalogu wystawy z r. 1915 w Krakowie ten sam obraz miał tytuł «Wnuk tych spod Grochowa i Stoczka».

liśmy uznanie. Legenda i sława wzięły nas na swe skrzydła i niosły naprzód. Jeśli jest w legendach coś fałszywego, to one naprzód daleko nie zajdą, wstrzymają się u wrót serca. Nasza sława i legenda przed tymi wrotami się nie zatrzymały. Poszło przede wszystkim za nami to, co jest najpiękniejsze w kulturze ludzkiej, — poszła sztuka. Moi panowie, poezja twórcza należy do tych dziedzin ducha, które, mówiąc słowami Słowackiego, «owija się, jak bluszcz koło dębu», owijają się, jak bluszcz koło wielkiego wysiłku ludzkiego. Im większy wysiłek, im większa praca ducha ludzkiego, tym silniej szuka poezja i sztuka dla swej twórczości motywów z tego nienikczemnego życia. Przede wszystkim twórczość o charakterze t. zw. ludowym buchnęła, jak gdyby żywym płomieniem, z tego źródła nowej mocy, nowej twórczości, nowego wysiłku ludzkiego, który się uosabiał w Legionach. Nie znam epoki bardziej udatnej, bardziej silnej pod względem twórczości poezji żołnierskiej, jak nasz okres legionowy. Dotąd piosenka legionowa jest nabytkiem całego narodu. Dotąd żołnierz w wojsku polskim, gdy Legiony już minęły, śpiewa nasze pieśni; śpiewa to, co grało w naszych duszach, żyje, bawi się, robi to, cośmy ongi robili na ziemiach polskich. Kulturę polską ożywiły pieśni żołnierskie, wycisnęły i wyciskają tyle obcych nabytków, przejętych przez polskich żołnierzy z armii obcych. Jeżeli pieśń ma jakieś znaczenie, jeżeli to, co jest piękne, co odpowiada głębokiej potrzebie duszy, ma jakiś wpływ, to pieśń żołnierska jest tym wielkim, trwałym ogniwem, które zapewnia życie Legionom, dopóki istnieje żołnierz polski. Tyle tych pieśni! Można śledzić historię Legionów, studiując ich pieśń. Każdy batalion miał swoje zbiorowo układane pieśni, do których ciągle dorzucał nowe słowa, dodawał dowcipy. Tworzyła się ta pieśń tak, jak ongiś tworzyła się pieśń ludowa. Ta pieśń żyje dotąd, jako rzecz nabyta, jako rzecz żywa i trwała.

Weźmy malarstwo. Nie wiem, czy jest w ogóle większy malarz polski, który sił swoich nie próbował w dziedzinie życia legionowego, któryby, jak ten bluszcz, nie oplątywał się koło życia, świadczącego o sile, o energii ludzkiej i bezwiednie dlatego pociągającego sztukę, bezwiednie pociągającego piękno.

A cóż mówić o kobietach? Nie czekam w tym wypadku uśmiezków, świadczących o brudzie duszy. Mówię o kobiecie, jako o pięknie życia. Mówię o kobiecie, jako o istocie, która daje często lepsze, szlachetniejsze pobudki, która daje radość życia mężczyźnie. Pierwsze poszły za nami kobiety. Kobiety odczuły silnie piękno życia, odczuły tę przekorę legunową, która szła wbrew całemu światu, która szła przebojem prze-

ciw własnemu społeczeństwu, żądając od niego, jeżeli nie uznania, to szacunku dla polskiego żołnierza. W ślad za nami, trop w trop za naszym żołnierzem idą kobiety, oczarowane pięknem duszy, pięknem wartości moralnej, którąśmy z siebie wydobyli. Śmiać się można z przesadnych nieraz zachwyków i adoracyj, jakie nam towarzyszyły, lecz są one świadectwem głębokiej wartości wewnętrznej tego przejawu życia polskiego, jakim byliśmy.

Moi panowie, to piękno, ta poezja życia, którą myśmy stworzyli, miała pewne cechy, które narzucały się otoczeniu w sposób nieprzeparty, tak nieprzeparty, że chcę wskazać na żywe przykłady oddziaływania tego uroku. Szliśmy krajem, gdzie, gdy mówiono «nasze» wojsko, to mówiono o tych, którzy nas zabijali ¹⁾. Tam więc, gdzie nie szło o polityczną stronę naszego ruchu, gdzie nie odgrywał roli stosunek do t. zw. idei legionowej, tam, gdzie, przeciwnie, widoczna była niechęć do nas, niespokojnym okiem szukałem w duszy polskiej śladów wpływu piękna, któreśmy nieśli, szukałem tych śladów, badając i pytając. Pamiętam postoje po wsiach polskich, postoje dłuższe i krótsze po długich skomplikowanych marszach i kontrmarszach. Za każdym razem badałem uważnie, jaki ślad w ludziach zostawia nasz pobyt. Przychodzili do mnie, jak zwykle do władzy, ludzie ze skargami. Gdzież bowiem jest żołnierz, który zazdrosnym okiem nie śledzi takich stworzeń, jak kura i gęś? Gdzież jest żołnierz, który bodaj okiem pożądlivym nie spogląda na konia? Gdzie jest żołnierz, który dowcipem lub gwałtem nie wyciągnął od gospodyni jedzenia? Takimiż byli i moi żołnierze. To też nic dziwnego, że ludność przychodziła ze skargą lub prośbą, żeby takich rzeczy nie czyniono, żeby w taki czy inny sposób szkodę wynagrodzono, lub chociażby kwit jakiś wydano. Za każdym razem zapytywałem, za każdym razem badałem, jaki jest stosunek ludności do mego żołnierza. I tak żywo pamiętam, jak w każdej nieledwie wsi, kobieta, przychodząca ze skargami, zasłoniwszy się wstydlivie fartuchem, mówiła: «Takie wesołe wojsko». Ten urok wesołości, ten urok żartu, ten urok żołnierzy, idących na śmierć z uśmiechem na ustach, w ostatniej chwili obejmujących w uścisku dziewczynę, w ostatniej chwili rzucających słowa wzgardy dla tchórza, to jest typ, jaki się wytworzył w Legionach.

Pamiętam oto takie, np., obrazy. Było to w kraju, który obecnie wchodzi w granice naszej Rzeczypospolitej, lecz w któ-

¹⁾ T. zn. o wojsku rosyjskim.

rym, ściśle mówiąc, Polaków było względnie niewiele. Jest to Polesie Wołyńskie. Staliśmy tam bardzo długo¹⁾, poznaliśmy ten kraj dokładnie. Ludności było tam bardzo mało, zostały jakieś niedobitki osiedli ludzkich, które i tak topniały pod gorącym oddechem wojny. Niknęły sioła, niknęli ludzie. Zniszczenie na całej linii. Smutny obraz ożywiało tu i owdzie na drodze spotkane drzewko owocowe, kwitnące, mimo, iż śladu osiedli ludzkich w okolicy tej już nie było. Zostało jako świadectwo, że gdzieś tu mieszkał człowiek, że gdzieś tu człowiek pracował, że gdzieś tu pot swój do ziemi wlewał, z którego wykwił ten kwiat owocowy. I pamiętam, jaką radość i życie wносиły do tego pustkowi najbujniejsze charaktery, najweselsze bractwo, kochankowie wszystkich kobiet, drapieżni na cnotę niewieścią, młodzi chłopcy ułańscy. Pamiętam, jak długi czas jeżdżąc po pustkowiach, trafiłem do pułku ułanów t. zw. Beliniaków. Zdumiony byłem tym, co się tu dzieje. Jest tu życie! Nawet kury chodzą, co było zjawiskiem zupełnie niesłychanym. Tu, przy Belinie, przy tym szlagońskim typie człowieka, gospodarzającym tu, jak na wsi, mającym cały szereg zalet i przywar szlacheckich, śmiech panował, tu, w tej wiosce, wieczorami odbywały się bale, tu wieczorami wyprawiano tańce, tu grała muzyka, tu było wesele, tu było życie — w ponurym obrazie wojny. To ułani polscy zachowali wieś od zniszczenia, to ułani polscy w smutki wojny wnosili radość.

Przejdę do innych przejawów pracy żołnierskiej. Mam na myśli stosunek ułana do konia. Czytałem całe tomy literatury, traktujące o tym, jak jazda powinna konie szanować i jak trudno ludzi do tej cnoty żołnierskiej doprowadzić. Oficer musi ciągle czuwać, by doglądano koni. Gdy zmęczony jeździec stanie na odpoczynku, na oficerze leży obowiązek przypominania ułanowi, że koń idzie przed jego potrzebami snu czy wytchnienia. Dla naszej kawalerii te grube tomy nauk i przestroż, spisanych na podstawie wojennych doświadczeń narodów, były niepotrzebne. Nasz ułan legionowy konia kochał więcej, niż kobiety, a kobiety kochał szalenie. Konie były skarbem duszy ludzkiej, konie były towarzyszami żołnierza. Wygoda konia obchodziła go więcej, niż życie i rany własne. Konie ratował od zguby, z końmi się bratał, robił z nich jakąś, wyśmiewaną zresztą przez wszystkich piechurów, poezję końską. Ułan wydobywał ze siebie najwyższe wartości wojskowe, by sława ułańska, sława jazdy polskiej, żyła po wieki. Ułan, któremu piechur krzyczał: «Ułan! drogi nie znasz, zapytaj się

¹⁾ Od września 1915 r. do października 1916 r.

konia» — ten biedny ułan, przedmiot kpin i żartów innych rodzajów broni, cackał się ze swoim koniem, cieszył się nim, jak dzieckiem, tak, że każdemu innemu wojsku za wzór żołnierza służyć będzie. Na dowód zabawny obrazek. Idą ułani do kuchni w porządku po jadło. Spostrzegam z przerażeniem, że jeden z żołnierzy idzie po jadło z putnią, z której poi konia. Zawołałem komendanta szwadronu i robię wymówki, że żołnierz je obiad z putni, z której pije koń, stworzenie, stojące niżej od istoty ludzkiej. Na to komendant szwadronu odparł, że jest to wielki honor dla ułana, jeżeli jada z tego samego naczynia, co jego koń. Ta przekorna przesada w trosce o konia raz jeszcze stwierdza tę charakterystyczną cechę, jaka się wytworzyła w psychologii naszego żołnierza.

Znałem w Legionach chłopców, którzy w tornistrach nosili bardzo cudaczne rzeczy. Nigdy nie mogłem zrozumieć tej manii zbierania rupieci w rodzaju odłamków szrapneli i noszenia tych ciężarów, kiedy i tak już ciężka była normalna zawartość tornistra. Pasja ta doprowadzała ludzi do tego, że woleli wyrzucać środki żywności, aby tylko nie pozbyć się swoich dziwacznych pamiątek. Pamiętam niezapomniany dla mnie obrazek, gdy żołnierze, idący pod ogniem artylerii do kuchni, ukrytej w lesie, przy każdym strzale armatnim przystawali, rozglądali się po gapiowsku dokoła i pytali się siebie, gdzie pociśki upadły. Krzyczeć trzeba było na nich, aby się nie narażali tak głupio na strzały. Była to ciekawość dziecka-żołnierza, ciekawość człowieka, szukającego nowych doświadczeń; prowadziła ona do najbezsensowniejszych rzeczy, przeczących instynktowi samozachowawczemu. To też nigdy w Legionach nie brakowało ochotników do akcji najryzykowniejszych; zawsze było ich za wielu i zawsze trzeba było wybór, krzywdzący tych, którym najtrudniejszych robót nie wyznaczano.

Muszę wspomnieć również o zachowaniu się naszych rannych i chorych. Lekarze obcy bardzo często mówili mi: — Co tam jest właściwie w tych waszych Legionach? Żołnierze niedoleczeni, żołnierze, których lekarze zatrzymywali w szpitalu, wracali do pułków, wracali do kompanij, wracali do szwadronów, uciekali po prostu ze szpitala do wojska, szukając na nowo tych ran, szukając na nowo tryumfów żołnierskich. Pamiętam moją rozmowę z jednym z wybitnych lekarzy wiedeńskich, odbywających w charakterze chirurga inspekcję szpitali. Zastanowiło go to, że legioniści znoszą operacje znacznie łatwiej, przechodzą rekonwalescencję znacznie szybciej, niż wszyscy inni żołnierze. Tłumaczył to tym, że przychodzą oni do operacji w znacznie lepszym nastroju, niż ogół żołnierzy austriac-

kich. Jedynym marzeniem naszych rannych i chorych było jak najprędzej uciec ze szpitala, uciec, jak mówili, do domu. Domem tym był pułk, domem tym była kompania, domem tym byli towarzysze broni.

Legiony miały zdolność asymilowania — często zupełnie mimowolnego — żywiołów obcych. Oto zabawny przykład takiej asymilacji. Pewien wiedeńczyk przyplątał się w jakiejś katastrofie wojennej do jednego z batalionów I Brygady i stał się «dzikim» legionistą. Po pewnym przeciągu czasu nie chciał w żaden sposób nas opuścić i dopiero, bawiąc pod Wiedniem na urlopie, został aresztowany za wymyślanie Austriakom od urodzonych tchórzy, czego nauczył się od swych legionowych kolegów. Ta dziwnie silna asymilacja, która porывała za sobą naiwne dusze, robiła ni stąd, ni zowąd z człowieka obcego legionistę tak wiernego, że, będąc rannym, wracał z ambulansu natychmiast do szeregów, twierdząc, że woli umrzeć z kolegami w polu, niż siedzieć w szpitalu, skoro ma tylko lekką ranę. Drugi fakt asymilacji jest jeszcze ciekawszy. Zabląkał się jakiś wirtemberski żołnierz. Pułk jego poszedł gdzieś dalej, a on, szukając go, pozostał w tyle i przyczepił się do biwaku legionowych saperów. Ci przebrali go, i odtąd chodził w maciejówce z orzelkiem. A ponieważ saperzy potrzebowali wołów roboczych, przeto chętnie pozostawili go u siebie. Wirtemberczyk był również bardzo zadowolony i twierdził, że trafił do świetnego i wesołego wojska. Zasymilował się tak dalece i tak głębokoko, że zapomniał o prawie niemieckim, karzącym za dezercję. Bawił u nas przeszło pół roku i wówczas zaczął pisać listy do rodziny, które go zdradziły. Do Komendy I Brygady przyszło nagle od pułku wirtemberskiego żądanie wydania owego żołnierza dla odpowiedniego ukarania.

Ten sam proces asymilowania odbywał się nie w jednej I Brygadzie; był on nawet może silniejszy w II. Tam było zawsze mniej politycznych motywów, samodzielnie przez legionistów wysnutych, nie było tam mnie, jako przedstawiciela politycznej przekory w stosunku do małych ambicji polskich w społeczeństwie. Natomiast bardziej jaskrawo, bardziej wyraziście wypiastrowano tam myśl o żołnierzu, zajmującym się prawie wyłącznie swym fachem i przeróbką siebie na dobrego żołnierza. W III Brygadzie, sformowanej później, niż inne, ludzie wypracowali typ pośredni, bardziej zresztą do typu I Brygady zbliżony.

Zyskaliśmy wkrótce sławę dobrych żołnierzy, a przechodząc przez rozmaite, coraz to różnorodniejsze koleje, doskonaliśmy się coraz bardziej. Natomiast komplementem stałym

i ustawicznie w stosunku do nas powtarzanym był zarzut «undiscipliniert»¹⁾). Pozwolicie, panowie, że przedstawię taki obrazek braku dyscypliny, który zdarzył się właśnie tutaj, we Lwowie. Było to po ciężkich bojach wołyńskich, kiedy zachorowałem na influencję i tutaj, pod Lwowem, odbywałem rekonwalescencję²⁾). Wtedy miałem sposobność być podejmowanym przez komendanta miasta. Spotkałem się na przyjęciu z rozmaitymi oficerami. Jeden z nich opowiadał mi o fakcie następującym: o północy, t. zn. w porze, w której porządni żołnierze nie chodzą po mieście, spostrzegł na ulicy Sykstuskiej dwóch żołnierzy, idących na przeciw niego. Z daleka zauważył, że są to legioniści. Spostrzegł również, że są «zalani» i chwieją się w różne strony. Używając tutejszego terminu, «batiary» lwowskie służyli i w I Brygadzie, i miewali najrozmaitsze urlopy, więc spędzali je nie gdzie indziej, jak we Lwowie. Zrównawszy się z oficerem, nie tylko honorów mu nie oddali, ale go jeszcze, przechodząc, potrącili. Oficer począł im robić wymówki: «Legionistą jesteś, jak ci nie wstyd, po nocy pijany się włóczysz? Spotykasz oficera, honorów mu nie oddajesz i jeszcze go potrącasz?» Na to jeden z żołnierzy, zmierzwszy oficera z góry na dół, powiedział: — «My z I Brygady!» — «No i cóż z tego — odparł oficer — żeś z I Brygady? Jakież z ciebie żołnierz? Wstyd Brygadzie robisz!» — «Wstyd Brygadzie?» — powtórzył legionista i począł długo szukać czegoś i szperać w kieszeni spodni. Wreszcie wydobył z niej nienoszony nigdy na piersi austriacki złoty medal waleczności i, pokazując go oficerowi, zapytał: — «Wystarczy?» — Po chwili wyciągnął z drugiej kieszeni żelazny krzyż pruski i powtórzył poprzednie zapytanie: — «Wystarczy?» Potem, wskazując towarzysza, rzekł: — «Ten ma to samo. Chodźmy!» To brutalne zachowanie się wobec obcych oficerów było istotnie nawykniem legunów. Nie będę temu przeczył. Oto drugi obrazek z tego samego okresu czasu. Przez otwarte okno słyszę zmianę warty pod moim mieszkaniem i słyszę cichy rozkaz: «Stać przy mieszkaniu, wszystkich puszczać, swoim oficerom honory oddawać, austriackim — nie».

Nie powiem, panowie, by ten sposób postępowania był dobrym zwyczajem. Był to jeszcze jeden wynik owej przekory legunów, którzy, zdobywszy sławę, starali się akcentować na każdym kroku, że całą swą wartość zawdzięczają własnej pracy i nie potrzebują nieproszonych nauczycieli. Scysje z ob-

¹⁾ niekarny.

²⁾ W marcu 1916 r.

cymi oficerami wywoływane były gwałtownym narzucaniem nam nauczycieli, które rodziło stale niechęć w stosunku do wojska austriackiego, a specjalnie do jego oficerów. Wyrażała się ona nieraz w formie bardzo ostrej i niedopuszczalnej. Stąd zarzut «undiszipliniert». Zwracałem uwagę na te objawy i raz wydałem rozkaz: od dziś oddawać honory wszystkim oficerom, bez względu na to, jakimi są — nie chcę mieć żadnych skarg. Rozkaz ten był wypełniony, a żołnierze stali się przesadnie grzeczni, robiąc «Stellung»¹⁾ tak wspaniały, że radowały się serca oficerów austriackich, przekonanych, iż to ich wpływ tak umoralnił legionów. Dyscyplinę, to dobrowolne posłuszeństwo, zawsze w Legionach uzyskać mogłem. Rozkaz był rozkazem, służba służbą. Zarzut «undiszipliniert» dotyczy się czegoś innego. Tyczy się pewnego lekceważenia form życia codziennego, lekceważenia, wywołanego ciągłym brataniem się ze śmiercią.

Zawód żołnierski — to praca w nienaturalnych warunkach. Wytwarza on u żołnierzy specjalny stosunek do zjawiska śmierci. Umierają, co prawda, wszyscy ludzie. Ale gdy żołnierz idzie na śmierć, tzn., że śmierć bierze pod rękę i chodzi z nią po polach bitewnych. Śmierć i poczucie śmierci otaczają wciąż żołnierza. Śmierć jest dla niego zjawiskiem stałym, codziennym. Nie wiem, panowie, czy ci, którzy nigdy żołnierzami nie byli, zdają sobie sprawę z tego, jak niełatwe jest ciągle ze śmiercią obcowanie. To codzienne, zgodne z obowiązkiem żołnierza chodzenie na śmierć, ten wysiłek przywyknięcia do niej, to bratanie się z śmiercią wyciska w duszy głębokie ślady, wywołuje zmiany w charakterze. Człowiek, który ma jutro umrzeć, ma pewien specjalny stosunek do rzeczy. Nie ceni pewnych wygod, bo jutro wszystkie wygody mogą zniknąć. Nie ceni, co prawda, wygod innych ludzi, lecz swoje również ma za nic. W czasie długiego stykania się i bratania się ze śmiercią wygoda staje się rzeczą taną, staje się rzeczą, nad którą się łatwo przechodzi do porządku dziennego. Życie dobrego żołnierza staje się ciągłą i ustawiczną loterią. Skutkiem tego jest lekceważenie przez niego spraw dobrobytu materialnego w znacznie silniejszym stopniu, niż to się spotyka w życiu innych ludzi.

Życie wojenne, życie w nienormalnych warunkach, złobi jeszcze inną cechę w duszy żołnierza. Jest on mężczyzną, który pozostawił gdzieś w dali życie rodzinne. Zadowoląć się musi często dorywczym uściskiem, nieraz brutalnie zdobytym. Im

1) przyjmując postawę na baczność.

bardziej jest skazany na te dorywcze uściski spotkanej gdzieś w kącie kobiety, tym bardziej rodzi się w nim tęsknota za uśmiechem szczęścia, które niesie życie rodzinne. Radość i uśmiechy życia rodzinnego, radość i uśmiech dziecka tak go rozczulają, że wszystkim paniom radziłbym wychodzić za mąż za dobrego żołnierza, gdyż jest prawie pewne, że można nad nim panować jednym uśmiechem.

Wreszcie jeszcze jeden znamieny rys dobrego żołnierza. Spełnia on twardy obowiązek żołnierski, wykonywuje pracę, nieraz bardzo mało znaczącą i podrzędną. Żąda jednak zawsze bardzo twardo szacunku dla siebie, szacunku dla swej pracy i szacunku dla swego dowódcy. Cechą wszystkich dobrych żołnierzy jest to, że swych wodzów, prowadzących ich do zwycięstw, kochają i wymagają dla nich czci.

Proszę panów, ten typ dobrego żołnierza znajdziemy wszędzie, gdzie było wojsko i gdzie pod dobrym wodzem ruszało ono na zwycięstwa.

We Francji, w najwybitniejszej jej epoce, gdy żołnierze służyli pod największym wodzem świata, pod Napoleonem, powstaje typ wiarusa napoleońskiego. Lekkomysłny on jest w życiu codziennym, nie dbający o pieniądze, przechodzący do porządku dziennego nad materialną stroną życia, wesoły i swobodny, szukający szczęścia, szukający wrażeń, uprzyjemniających mu życie, zawsze gotów jednak stanąć odważnie i twardo w obronie swego honoru i w obronie swego cesarza, potem ciągle konspirujący, by swego wodza «z niewoli» wydobyć. Czy pamiętacie pieśń o dwóch grenadierach Heinego? ¹⁾ Pieśń nie przez Francuza napisaną. Tym właśnie charakterystyczniejsza, że ten typ wiarusa napoleońskiego siłą swych rysów narzucał się i pociągał pióra obcych. Dwaj grenadierzy powracają z niewoli i dowiadują się po drodze piorunującej wieści — ich cesarz w niewoli. Zdawałoby się, że niczego innego pragnąć nie powinni, jeno powrotu do rodziny, której tak dawno nie widzieli. A jednak całe ich marzenie ześrodkowane jest w chęci ujrzenia i oddania honorów temu, który ich prowadził do boju, — cesarzowi. Ten typ dobrego żołnierza, tego napoleonowego wiarusa, tych oficerów, których setkami wyrzucano z królewskich wojsk po Restauracji, których trzymano pod dozorem policji, jako niebezpiecznych, utrwalił się w literaturze francuskiej i znalazł swój wyraz w postaciach bohaterów licznych powieści.

¹⁾ Mowa o utworze p. t. «Dwaj grenadierzy» Henryka Heinego, niemieckiego poety z 1-ej połowy XIX wieku.

U sąsiedniego narodu podobnie. Mamy tam epokę przewag wojennych, epokę Sedanu ¹⁾, epokę walk, rozbrzmiewających zwycięstwem Prus. I oto znajdziemy tam prawie ten sam typ dobrego żołnierza, z dodatkiem rysów rasy niemieckiej. Typ surowszy, mniej kulturalny. Żołnierz ten zajmuje przeważnie skromne stanowisko w państwie, lecz surowymi oczyma wymaga od swego pana szacunku dla siebie i dla krzyża, który nosi na piersi. Tak samo, jak wiarus napoleoński, jest czuły na wdzięki niewieście i czuły na uśmiechy dziecka. I znowu w niemieckiej literaturze spotyka się te typy, które zbratały się ze śmiercią, które śmierć nazywały siostrą, z nią kładły się i wstawały z łoża. To typy ludzi, którzy nie cenią wartości dobrobytu i majątku, ale dusze, wierne honorowi własnemu i honorowi swego wodza. Na takich podoficerach, pozostających nieraz na bardzo skromnych stanowiskach, budowana była siła i trwałość państwa niemieckiego.

Jeżeli przejdę do literatury rosyjskiej, to znajdziemy tam podobny typ dobrego żołnierza. Oswojony ze śmiercią, zbratany z nią, a zarazem lekkoduch, włóczący się po świecie, przepijający i przegrywający z lekkim sercem cały swój żołd, wymagający jednak szacunku dla siebie i dla cara, w imieniu którego walczył. Przypominam sobie jednego z pisarzy rosyjskich (Uspieńskiego ²⁾), który z wielkim talentem nakreślił ten typ rosyjskiego wiarusa. Przez dwadzieścia pięć lat służy on w wojsku, walczy na wszystkich polach, pełni służbę wzorowo... i filozofuje. Bił nieprzyjaciół, to prawda, ale ci, z którymi walczył przez całe życie, to mimo wszystko poczciwe, zacne ludziska, i te Francuzi, i te Niemcy, i te Polaki, i te Turki, chociaż poganie. Tej względności wobec nieprzyjaciół nabył w obliczu śmierci.

A w dawnych powieściach polskich ileż to sylwetek dobrych żołnierzy! Wzorami dla autorów byli ludzie żywi, postacie, którym na klepsydрах wypisywano ongiś: «były oficer, czy podoficer byłych Wojsk Polskich». Są oni trochę bardziej rzewni, bardziej sentymentalni, niż Francuzi czy Niemcy. To typy wiarusów, służących przy dworze i zaprawiających rękę młodego panicza do szabli, opowiadających niezwykle dzieje przygód wojennych, których byli uczestnikami. To typy starych ordynansów oficerskich, co wrócili z wojny razem ze

¹⁾ Sedan, miasto w depart. Ardennes, w płn. Francji; w roku 1870 pod Sedanem odbyła się bitwa między Francuzami i Niemcami, zakończona kapitulacją wojsk francuskich i wzięciem do niewoli cesarza Francji, Napoleona III.

²⁾ Gleb Iwanowicz Uspieńskij, pisarz rosyjski z końca XIX wieku.

swym panem, a i teraz służą mu wiernie. Służą, nie pozwalający jednak siebie lekceważyć, bo na ich piersiach krzyż zasługi. I oni, jak wszyscy dobrzy żołnierze, szukali szczęścia i uśmiechu życia, lekkomyślnie lekceważyli dobra materialne, a zachowali przez całe życie przywiązanie dla przyjaciół i naiwną wiarę Don Kichota, rycerza, sprzeciwiającego się zepsuciu i łajdactwu.

Wszędzie, gdzie w długich wojnach i ciężkich trudach żołnierskich pracował człowiek, wszędzie daje on swemu narodowi nowy nabytek kulturalny. Typ człowieka, przechodzącego łatwo nad materialnymi wartościami życia, przenoszącego ponad nie wartości moralne. Typ człowieka, łatwo znoszącego zmienność losu, byle mieć możliwość zachowania najlepszej części swej duszy — szacunku dla siebie i szacunku dla swego honoru. Uczciwa praca na najskromniejszych stanowiskach, stałe poszukiwanie zgody ze swoim sumieniem jest ich cechą, nabytą w codziennym brataniu się ze śmiercią. Jak ongiś, na polach bitew, przelewali krew dla honoru swego sztandaru i na rozkaz swych wodzów, tak w pracy pokojowej zmieniają honor sztandaru na honor swej pracy, na honor swej nowej służby, dla której wymagają szacunku, jako dla części głównej siebie samych. Szukają przy tym radości życia, uśmiechu szczęścia, do którego tęsknili tak długo w pracy wojennej, w robocie bitewnej.

Legiony stworzyły w Polsce, odrodziły na nowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może w przyszłej historii stanowić będzie więcej, niż te czy inne przewagi w tych czy innych bojach. Potrafiliśmy swoim wysiłkiem, swoim sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego. Powstawał jakby z mogiły dawny typ żołnierza powstańca, przymierającego głodem czasem, wędrującego borem, lasem, po ziemi ojczystej. Zapomniane, odpędzane, nieraz upiorne widmo lat ubiegłych na przekór światu, na przekór swoim, żyło, żyć pragnęło, życie dając Polsce.
